

Wiwisekcja wielkiego zaniedbania

Był jedynym generałem SS, który po wojnie objął w RFN urząd publiczny na szczeblu landu. Heinz Reinefarth (1903–1979), brutalny pacyfikator Powstania Warszawskiego, nie tylko nigdy nie stanął przed sądem, lecz także – mimo nazistowskiej przeszłości – cieszył się szacunkiem lokalnej społeczności w północnych Niemczech. Był burmistrzem kurortu Westerland na wyspie Sylt (1951–1963) i deputowanym do regionalnego parlamentu w Kilonii (1958–1962).

Pierwsza biografia tego zbrodniarza – *Kat Warszawy* Szweda Niclasa Sennertega (2003, wyd. polskie 2009) – miała charakter popularnonaukowy. *Sprawa Reinefartha*, która ostatnio trafiła do polskich księgarń, to solidna książka naukowa, przygotowana na podstawie pracy doktorskiej. „To nie jest na pewno lektura dla miłośników taniej sensacji. Wymaga ona od czytelnika dużej koncentracji, ale trud uważnego prześledzenia wywodów autora z pewnością się opłaci” – trafnie pisze w posłowie prof. Eugeniusz Cezary Król.

U Sennertega punkt ciężkości to lata II wojny światowej. Autor *Sprawy Reinefartha*, młody szwajcarski historyk i socjolog Philipp Marti, poszedł w inną stronę. Powstaniu Warszawskiemu poświęcił ledwie kilkanaście stron (choć wielokrotnie powraca do niego w kolejnych rozdziałach). Drobiazgowo, ale bez ingerowania w prywatność tytułowego antybohatera, zbadal za to okres powojenny w życiu Reinefartha: od internowania przez Amerykanów w roku 1945, przez skandaliczne postępowanie denazyfikacyjne, aż po dwa prokuratorskie postępowania przygotowawcze i wstępne śledztwo sądowe, które nie zdołały doprowadzić zbrodniarza na ławę oskarżonych. Powstało w ten sposób – jak to ujął Marti – „bardzo szeroko pojęte treściowe studium biograficzne”, które jest także uniwersalną opowieścią o kulawych zachodniemieckich rozliczeniach z nazistowską przeszłością.

Reinefarth, z wykształcenia prawnik, do NSDAP i SS wstąpił w 1932 roku, krótko przed przejściem władzy w Niemczech przez Adolfa Hitlera. W latach II wojny światowej błyskawicznie piął się po szczeblach nazistowskiej hierarchii. We wrześniu 1939 roku walczył jeszcze jako zwykły strzelec rezerwy, kilka miesięcy później w Belgii – jako podoficer, a na froncie wschodnim – już jako oficer. W 1942 roku mianowano go brigadeführerem SS i generałem majorem policji. Dwa lata później został wyższym dowódcą SS i policji w tzw. Kraju Warty. W pierwszych dniach sierpnia 1944 roku, decyzją szefa SS Heinricha Himmlera, został skierowany do Warszawy – z zadaniem wymordowania tamtejszej ludności cywilnej. „Na Woli oddziały Reinefartha, wypełniając dosłownie rozkaz Himmlera, mordowały wszystkich, którzy im się nawinęli pod lufę: małe dzieci, kobiety, starcy tak samo ginęli w masowych egzekucjach, jak całe załogi szpitali wraz z pacjentami, czy księża, którzy razem z wiernymi chowali się w kościołach” – pisze Marti. Wymownym

dopelnieniem tego obrazu jest wzmianka o dwóch paczuszkach zdobyczej herbaty, które kat Warszawy wysłał szefowi SS z płożącego miasta.

Jak to się stało, że okrutny zbrodniarz uniknął kary? Autor wskazuje wielu winnych: Amerykanów, którzy w drugiej połowie lat czterdziestych uparcie odmawiali Polakom ekstradycji Reinefartha; zachodniemieckich prokuratorów i sędziów, którym „nazbyt często brakowało woli konsekwentnego wykorzystania ustawowych możliwości” i „którzy wbrew lepszej wiedzy brali za dobrą monetę zeznania składane przez świadków na własną korzyść”; w mniejszym stopniu również władze PRL, niezainteresowane autentycznym przepracowaniem prawnym Powstania Warszawskiego.

W rezultacie tej obstrukcji, opieszałości i zaniechań człowiek odpowiedzialny za rzeź Woli i inne zbrodnie wojenne mógł otrzymać zwrot wydatków poniesionych na obronę i do swoich ostatnich dni prowadzić kancelarię adwokacką. Z czasem zmuszono go tylko do wycofania się ze świata polityki i nie pozwolono mu na powrót do zawodu notariusza. „Gdybyśmy rozgoryczenie, jakie u schyłku życia pewnie odczuwał z tego powodu, nazwali stosowną karą, byłoby to wyrazem cynicznego poczucia sprawiedliwości w obliczu jego odpowiedzialności za zamordowanie tysięcy ludzi” – nie ma jednak złudzeń szwajcarski historyk.

„Tym, co od razu przykuwa uwagę w książce Philippa Martiego, jest niesłychana wprost skrupulatność autora w przedstawianiu swoich hipotez i dowodów potwierdzających ich prawdziwość” – podkreśla w posłowie prof. Król. W zebranych na końcu książki przypisach, zajmujących notabene ponad sto stron, znajdziemy cytaty zarówno z „Trybuny Ludu”, jak i prasy lokalnej wydawanej na Sylcie. Od rodziny Reinefartha Marti nie uzyskał pomocy. Podstawę źródłową książki stanowią obszerne materiały z Archiwum Kraju Związkowego Szlezwik-Holsztyn w Szlezwiku i Archiwum Syltu w Westerlandzie. Autor zajrzał też do innych archiwów w Niemczech, USA, Czechach i Polsce. Szkoda jedynie, że materiały z zasobu IPN, dokumentujące m.in. starania o ekstradycję Reinefartha, wykorzystał dość pobieżnie. Być może na przeszkodzie stanęła tu bariera językowa.

Sprawa Reinefartha nie jest płomienną mową oskarżycielską. Autor rzadko i bardzo dyskretnie zaznacza własne zdanie. Nie pozostawia jednak wątpliwości, że stoi po stronie prawdy i ofiar. Inaczej niż wyborcy Reinefartha z wyspy Sylt, którym w czasach cudu gospodarczego RFN burmistrz jawił się jako „człowiek honoru o wielkomieszczańskich manierach, [...] wykształcony, układny” i potrafiący „wzbudzać zaufanie”. Dziś, jeśli nadal tak myślą, są na szczęście poza – jak to określił Marti – „rozrachunkowym mainstreamem”. Od dwóch lat dwujęzyczna tablica na ścianie ratusza w Westerlandzie przypomina o zbrodniach Reinefartha. Książka Martiego, w Niemczech wydana w kwietniu 2014 roku, niewątpliwie się do tego przyczyniła. ❀

Filip Gańczak



Philipp Marti, *Sprawa Reinefartha. Kat Powstania Warszawskiego czy szacowny obywatel*, Świat Książki, Warszawa 2016, 494 s. + wkl. zdj.